




FRANZ KAFKA  
Opowieści i przypowieści

Przełożyli  
Lech Czyżewski, Roman Karst,  
Alfred Kowalkowski, Juliusz Kydryński,  
Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska,  
Anna Wołkowicz, Jarosław Ziółkowski

Posłowie  
Karol Sauerland



Państwowy Instytut Wydawniczy

## DROGA DO DOMU

Pomyślcie tylko, jaki dar przekonywania ma powietrze po burzy! Ukazują mi się wszystkie moje zasługi i po prostu mnie przytłaczają, chociaż, co prawda, niezbyt się przed tym bronię.

Kroczę przed siebie, a tempo mego marszu to zarazem tempo tego chodnika, tej ulicy, tej części miasta. Słusznie więc jestem odpowiedzialny za wszelkie stukanie do drzwi, za uderzenia w stół, za wszystkie toasty, za pary kochanek spoczywające w łóżkach, stojące pod rusztowaniami nowych budowli, przyciśnięte w ciemnych zaułkach do murów, leżące na otomanach w domach publicznych.

Oceniam swoją przeszłość i porównując ją z przyszłością, dochodzę do wniosku, że obie są świetne, żadnej z nich nie mogę przyznać pierwszeństwa i tylko ganię niesprawiedliwość Opatrzności, która tak mnie uprzywilejowała.

Jedynie gdy wejdę do pokoju, popadam w jakąś zadumę, mimo że na schodach nie przyszło mi na myśl nic godnego zastanowienia. I niewiele mi pomaga to, że otwieram okno na oścież i że z jakiegoś ogródka rozbrzmiewa jeszcze muzyka.

*przełożył Alfred Kowalkowski*

## ODPRAWIONY ZALOTNIK

Jeśli spotykam piękną dziewczynę i proszę ją: – Zrób mi tę łaskę, chodź ze mną – a ona mija mnie w milczeniu, tym samym daje mi do zrozumienia:

„Nie jesteś księciem o szlachetnym nazwisku ani barczystym Amerykaninem indiańskiej postawy, o spokojnym skupionym spojrzeniu i o skórze wygładzonej od powietrza, murawy i opływających ją rzek, nie odbyłeś nigdy podróży do wielkich mórz ani po owych oceanach, których nie wiem, gdzie trzeba szukać. A więc, przepraszam, dla czego ja, piękna dziewczyna, miałabym z tobą pójść?”

„Zapominasz, że nie wiezie cię limuzyna, kołysząca się posuwistymi zrywami po ulicy, nie widzę strojnych w obcisłe ubrania panów z twego orszaku, którzy szepcząc słowa uwielbienia, idą za tobą, otaczając cię półkolem, masz skrępowane starannie stanikiem piersi, ale twe uda i biodra szukają sobie rekompensaty za tę powściągliwość, ubrana jesteś w taftową suknię z plisowanymi fałdami, według mody, która nam wszystkim bardzo się podobała zeszłej jesieni, a mimo to – mając na sobie ten strój, który zagraża życiu ludzkiemu – uśmiechasz się od czasu do czasu”. „Tak, oboje mamy rację i aby sobie tego całkowicie nie uświadamiać, niech doprawdy każde z nas pójdzie już raczej z osobna do domu”.

*przełożył Alfred Kowalkowski*

## PASAŻER

Stoję na platformie tramwaju i nie mam najmniejszej pewności co do swojego miejsca na tym świecie, w tym mieście, w swojej rodzinie. Nie potrafiłbym również, chociażby pobieżnie, wymienić, jakie pretensje mógłbym z pewną dozą słuszności rościć o to do kogokolwiek. Nie mógłbym nawet uzasadnić, że stoję na tej platformie, trzymam się tego uchwyty, pozwalam się nieść temu wagonowi, że ludzie usuwają się tramwajowi z drogi, albo też idą sobie spokojnie lub wreszcie stają przed wystawami sklepów. Nikt wprawdzie tego ode mnie nie wymaga, ale to już obojętne.

Tramwaj zbliża się do przystanku, jakaś dziewczyna staje blisko stopni, gotowa do wyjścia. Ukazuje się moim oczom z taką wyrazistością, jak gdybym jej dotykał. Ubrana jest w czerń, fałdy spódniczki prawie się nie poruszają, bluzkę ma obcisłą, a kołnierzyk z białej koronki o delikatnym wzorze; lewą dłoń przyłożyła płasko do ściany wagonu, w prawej trzyma parasolkę opartą o drugi stopień, licząc od góry. Ma śniadą twarz, nos, z boku nieco płaski, u końca jest szerszy i zaokrąglony. Dziewczyna jest szatynką o bujnych włosach, drobne włoski rozwiewają się nad prawą skronią. Małe ucho ciasno przylega do głowy, a ponieważ stoję blisko, widzę całą zewnętrzną stronę muszli ucha i cień u jej nasady.

Zadałem sobie wówczas pytanie: Jak to się dzieje, że ona nie dziwi się sama sobie, usta ma zamknięte i nic na ten temat nie mówi?

*przełożył Alfred Kowalkowski*

## MIJAJĄCY NAS LUDZIE

Jeśli przechadzamy się nocą po ulicy i w naszą stronę biegnie jakiś człowiek, widoczny już z daleka – gdyż ulica wznosi się przed nami stromo w górę i jest pełna księżycą – nie będziemy próbowali pochwycić biegnącego, chociażby był słaby i obdarty, chociażby nawet pędził za nim z krzykiem jakiś inny człowiek, ale pozwolimy mu pobiec przed siebie bez przeszkód.

Albowiem jest noc i nie z naszej winy ulica w pełnym blasku księżycowym wznosi się stromo w górę, a ponadto jest możliwe, że tamci dwaj wdali się w tę gonitwę dla rozrywki, może też obydwaj ścigają kogoś trzeciego, może zresztą ściga się tego pierwszego bezpodstawnie, być może, że ten drugi chce pierwszego zamordować, a my staniemy się współwinni morderstwa, możliwe również, że ci dwaj nic o sobie nawzajem nie wiedzą i każdy z nich spieszy na własną odpowiedzialność do swego łóżka, może to są lunatycy, może ten pierwszy jest uzbrojony.

A wreszcie, czyż nie wolno nam odczuwać zmęczenia, czy wypiliśmy dosyć wina? Jesteśmy więc zadowoleni, że również ten drugi człowiek zniknął nam już z oczu.

*przełożył Alfred Kowalkowski*

# PRZYGOTOWANIA DO ŚLUBU NA WSI

[fragmenty]

## I

Kiedy Edward Raban, wychodząc z korytarza, wszedł w bramę, spostrzegł, że pada deszcz. Trochę mżyło.

Tuż przed nim po chodniku z różną szybkością przesuwało się wielu ludzi. Czasami ktoś mijał innych i przechodził na drugą stronę jezdni. Jakaś mała dziewczynka niosła na wyciągniętych rękach zmęczonego pieska. Dwaj panowie dzielili się nowinami. Jeden z nich poruszał rytmicznie dłońmi odwróconymi wewnętrzną stroną ku górze, jak gdyby podtrzymywał w powietrzu jakiś ciężar. Obok można było zobaczyć damę, której kapelusz przeładowany był wstążkami, agrafami i kwiatami. Pewien młody człowiek z cienką laską kroczył spiesznie przed siebie i przyciskał do piersi lewą rękę, jak gdyby była sparaliżowana. Od czasu do czasu zjawiali się palący papierosy mężczyźni, nad którymi wlokły się pionowe, podłużne obłoczki dymu. Trzej panowie – dwaj z nich trzymali na ramieniu lekkie płaszcze – podchodzili raz po raz spod muru budynku na brzeg chodnika, przyglądali się wszystkiemu, co się tam działo, i zatopieni w rozmowie – wracali na poprzednie miejsce.

Gdy tworzyły się luki między przechodniami, widać było ułożone regularnie kostki bruku. Jechały tędy powozy na cienkich, wysokich kołach, zaprzężone w konie o wysmukłych szyjach. Ludzie rozparci na wyściełanych siedzeniach spoglądali w milczeniu na przechodniów, na sklepy, balkony i na niebo. Gdy powozy miały się minąć, wówczas konie szły tuż obok siebie i uprząż zwisała swo-

bodnie. Konie szarpały dyszel, pojazd sunął, kołysząc się w pośpiechu, dopóki nie zatoczył pełnego łuku dokoła poprzedzającego go powozu, po czym konie znowu się rozstępowały i tylko pochylały ku sobie wąskie, spokojne głowy.

Paru ludzi weszło szybko do bramy, stanęli tutaj na suchej mozaice, z wolna się odwrócili i zaczęli przypatrywać się kroplom deszczu, które – wciskając się w tę wąską ulicę – opadały bezładnie na ziemię.

Raban czuł się zmęczony. Wargi miał tak blade jak wyblakła czerwień jego krawatu, tkanego w mauretańskie wzory. Stojąca na progu po przeciwnej stronie dama, która dotychczas patrzyła na swoje trzewiki, całkowicie widoczne spod wąskiej spódniczki, teraz zaczęła się przyglądać Rabanowi. Spojrzenie jej było obojętne, a zresztą przypatrywała się może tylko padającym przed nim kroplom deszczu albo niewielkim szyldom firmowym, umocowanym na drzwiach tuż nad jego głową. Rabanowi jednak zdawało się, że patrzy na niego ze zdziwieniem. „A przecież – myślał – gdybym jej mógł wszystko wyjaśnić, nie miałyby się czemu dziwić. Człowiek tak się przepracowuje w biurze, że potem zbyt jest zmęczony nawet, żeby się rozkoszować należycie urlopem. Ale nikt, nawet najciężej pracujący, nie może żądać od ludzi, żeby go za to kochali, tak pozostaje się więc samotnym, obcym dla wszystkich człowiekiem i jest się tylko przedmiotem zaciekawienia. I dopóki mówisz «się» – zamiast «ja», nic to jeszcze nie znaczy i można na ten temat spokojnie rozmawiać, ale gdy sobie uświadomisz, że dotyczy to ciebie, wtedy wydaje ci się po prostu, że jakiś grot przeszył ci serce, i jesteś wstrząśnięty”.

Postawił na ziemi walizkę obciążoną płóciennym, kraciastym pokrowcem i zgiął kolana. Woda deszczowa ściekała już wzdłuż rynsztoków potoczkami, które niecierpliwie wlewały się do podziemnych kanałów.

„Jeśli jednak sam robię różnicę między «się» i «ja», czy mogę się wówczas uskarżać na innych? Prawdopodobnie nie są oni wcale niesprawiedliwi, ale ja nazbyt jestem zmęczony, żeby zdobyć się we wszystkich sprawach na wyrozumiałość. Jestem nawet tak bardzo znużony, że przebycie tej krótkiej drogi na dworzec stanowi dla mnie nadmierny wysiłek. Dlaczego więc podczas paru dni urlopu nie pozostanę w mieście, żeby przyjść jakoś do siebie? Postępuję przecież zupełnie nierozsądnie. Podróż przyprawi mnie o chorobę, to niemal pewne. Mój pokój nie będzie wcale wygodny, na wsi inaczej być nie może. A poza tym mamy dopiero pierwszą połowę czerwca, w tym czasie na wsi jest jeszcze nieraz bardzo chłodno. Przewidując to, ubrałem się wprawdzie odpowiednio, ale będę musiał dotrzymywać towarzystwa ludziom, którzy lubią spacerować późnym wieczorem. Jest tam kilka stawów, nad te stawy będziemy chodzić na przechadzki. Na pewno się przy tym zaziębię. Natomiast nie bardzo będę brylował w rozmowach towarzyskich. Nie będę mógł porównać tamtejszego stawu ze stawami w różnych dalekich krajach, nigdy bowiem nie podróżowałem, a na to, żeby gadać o księżycu i wpadać przy tym w zachwyty albo wdrapywać się w rozmarzeniu na jakieś kupy gruzów, jestem już za stary i tylko bym się ośmieszył”.

Mijali go ludzie, schylając nieco głowy, nad którymi trzymali chwiejące się ciemne parasole. Przejechał także wóz, na jego wypchanym słomą furmańskim siedzeniu jakiś mężczyzna wyciągnął przed siebie nogi tak niedbale, że jedna stopa dotykała prawie ziemi, podczas gdy druga spoczywała wygodnie na słomie i szmatach. Wyglądało to, jakby ów człowiek siedział sobie w słońcu gdzieś w polu. Trzymał jednak cugle uważnie, toteż wóz, na którym sztaby żelaza uderzały wzajemnie o siebie, przeciskał się zrzęcznie przez zatłoczoną ulicę. W kałużach na ziemi widoczne



było odbicie tego żelastwa, ślizgające się i skręcające powoli od jednego do drugiego rzędu kamieni. Mały chłopczyk, towarzyszący damie z przeciwka, był ubrany jak stary właściciel winnicy. Jego mocno pofałdowany płaszczk rozszerzał się kolistą ku dołowi i tylko w górze, już prawie pod pachami, przewiązany był skórzanym paskiem. Kopulasta czapka nasunięta była aż po brwi, a z jej czubka długi chwaścik zwisał aż do lewego ucha. Deszcz sprawiał mu radość. Wybiegał z bramy i szeroko otwarte oczy podnosił ku niebu, żeby pochwycić więcej spadających kropel. Często podskakiwał, aż woda się rozpryskiwała i przechodnie nie szczędzili mu napomnień. Pani przywołała go i odtąd trzymała za rękę, ale chłopiec nie płakał.

Wtem Raban drgnął z przestachu. Gotów jeszcze się spóźnić. Ponieważ miał rozpięty płaszcz i marynarkę, szybko wydobyl zegarek. Ale zegarek stanął. Raban z kwaśną miną spytał o godzinę sąsiada, który stał nieco głębiej w korytarzu. Tamten właśnie z kimś rozmawiał i jeszcze ze śmiechem, będącym częścią składową tej rozmowy, odpowiedział: – Proszę, już po czwartej – i zaraz się odwrócił.

Raban szybko rozpiął parasol i chwycił walizkę. Kiedy jednak chciał wyjść na ulicę, kilka idących spieszenie kobiet zagroziło mu drogę, musiał więc jeszcze czekać, aż go wyminą. Przy tym spojrział na kapelusz jakiejś małej dziewczynki, spleciony z czerwonej farbowanej słomki, z zielonym wiankiem na wygiętym faliście rondzie.

Jeszcze miał go w pamięci, kiedy szedł ulicą wznoszącą się nieco w kierunku, w którym zamierzał się udać. Potem zapomniał o kapeluszu, musiał się bowiem trochę wysilić; walizka nie była wcale lekka, a wiatr dmący w twarz rozwiewał mu palto i podginał z przodu druty parasola.

Przymusił się do głębszego oddychania. Zegar z niżej położonego pobliskiego placu wybił kwadrans na piątą;

spod parasola dostrzegał stopy ludzi idących w jego stronę lekkimi, krótkimi krokami, hamowane koła skrzypiały, obracając się wolniej; konie odważnie, jak kozice w górach, wysuwały naprzód cienkie przednie nogi.

Rabanowi przyszło wówczas na myśl, że chyba przetrzyma jeszcze czternaście długich nadchodzących dni. To przecież tylko czternaście dni, a więc ograniczony okres, chociaż przykrości będą się zwiększać, coraz mniej pozostanie czasu, w którym będzie je trzeba znosić. To dodaje człowiekowi odwagi. „Wszyscy, którzy chcą mnie dręczyć i zapełnią teraz całą otaczającą mnie przestrzeń, dzięki dobroczynnemu przemijaniu tych dni zostaną ode mnie stopniowo odsunięci i nawet w najmniejszym stopniu nie będą im musiał do tego dopomóc. I będę mógł – do czego zresztą naturalną kolejną rzeczą dojdzie – cicho i potulnie poddawać się temu, czego będą ode mnie wymagać, a w końcu wszystko znowu zmieni się na lepsze, i to jedynie dzięki upływającym po kolei dniom.

I czy nie mogę urządzić się w taki sposób, jak to robiłem w czasach swego dzieciństwa, gdy narażałem się na jakieś niebezpieczeństwo? Nie potrzebuję przecież nawet jechać na wieś osobiście, nie jest to wcale konieczne. Poślę tylko swoje przyrodziane ciało. Jeśli ono chwiejnie wysunie się za drzwi mojego pokoju, ta chwiejność nie będzie oznaczała trwogi, lecz tylko jego nicość. I wcale nie na skutek podrażnienia potyka się ono na schodach i jedzie na wieś z gorzkim łkaniem, aby spożywać tam z płaczem wieczrę. Ja bowiem tymczasem we własnej osobie spoczywam w swoim łóżku gładko przykrytym żółto-brązową kołdrą i oddycham lekkim powiewem powietrza, napływającego przez nieznacznie uchylone okno. Wozy i ludzie na ulicy jadą i idą po lśniącym gruncie z pewnym wahaniem, ponieważ ja śnię jeszcze. Furmani i przechodnie są onieśmieleni i muszą mnie spojrzeniem prosić o pozwolenie na każdy



swój krok, o który chcą się posunąć naprzód. Dodają im odwagi i wtedy nie natrafiają na przeszkody.

Gdy leżę w łóżku, podobny jestem, jak sądzę, do wielkiego żuka, do jelonka albo do chrabąszcza”.

Przystanął przed wystawą sklepu, w której za mokrą szybą wisiały na stojakach małe męskie kapelusze, i patrzył na nią, wysunawszy naprzód zaciśnięte wargi: „Mój kapelusz jeszcze mi chyba na te wakacje wystarczy – pomyślał i ruszył przed siebie – a jeśli z powodu kapelusza nie będę się nikomu podobał, to nawet lepiej.

Wielki kształt żuka, oczywiście. A potem tak się urządziłem, jakby chodziło o sen zimowy i przyciskałem nóżki do brzucha. A teraz szepczę tych parę słów, to są rozkazy wydawane mojemu smutnemu ciału, które stoi w pokornej postawie tuż przy mnie. Wkrótce skończę, ono się ukloni, spiesznie ruszy w drogę i podczas gdy ja będę wypoczywał, wszystko jak najlepiej załatwi”.

Doszedł do stojącej oddzielnie okrągło sklepionej bramy, która w najwyższym punkcie stromej ulicy prowadziła na niewielki plac, otoczony oświetlonymi już w tej chwili sklepami. Pośrodku znajdował się posąg jakiegoś siedzącego w zamyśleniu człowieka, trochę przyciemniony z powodu światła rozjaśniającego brzegi placu. Ludzie na tle tych światła poruszali się jak wąskie przesłony, a ponieważ kałuże odbijały blask we wszystkich kierunkach, widok placu ulegał ciągłym zmianom.

Raban zapuścił się w głąb placu, wymijał jednak z nerwowym pośpiechem pędzące wozy, skakał z jednego suchego kamienia na drugi i wyprostowaną ręką unosił wysoko parasol, żeby widzieć wszystko dookoła siebie. Wreszcie stanął na przystanku tramwajowym przy latarni ustawionej na małym, czworokątnym, wybrukowanym podwyższeniu.

„Na wsi przecież mnie oczekują. Może już się martwią. Nie pisałem do niej cały tydzień, a więc od czasu

